

Matka Jasi stała, opierając się o furtkę między bzami i odwracając głowę od biegnącego niemal wśród piaszczystej drogi kochanka.

W chwili, kiedy się spodziewała odzyskać go całkowicie, poczuła, że go traci, może na zawsze. Jak to być mogło? Cemu ani częsta nieobecność, ani pochmurne roztargnienie, ani coraz jawniejszy chłód nie były tak wyraziste jak to przyspieszone mruganie powiekami, ten nagły, bezcelowy odjazd, ten lęk przed zostaniem z nią w cztery oczy? Dawniej można było się jeszcze łudzić, to było niewątpliwe. Marian przestał kryć się przed nią. Opanowany bezsilną rozpaczą przestał kryć się przed samym sobą. Jedyną jego myślą było: „Do Warszawy”, choć nie wiedział wcale, w czym jego pobyt w mieście zmieni może sytuację. Czuł tylko, że ani chwili dłużej nie może zostać przy Annie. Rodzinowski zajął jej w oczy na pożegnanie, nie dostrzegła tego. Twarz miała nieruchomą i stała bez ruchu, aż poczuła przy ramieniu ciepłe ramię Listena, który wprowadził ją na werandę, mówiąc cicho:

– Tak jest lepiej, wierź mi, że tak jest lepiej...

Siedzieli długo na ganeczku w milczeniu. W sąsiednim pokoju przewracała się w łóżeczku, pojękując z cicha, niezdrowa Jasia. Nie wiedziała, co się stało w lesie, i dziwiła się, że matka tak długo do niej nie wchodzi. Słyszała jej stąpanie po werandzie i jeszcze jakieś męskie kroki. Myślała, że to pan Marian i wstydziła się zawołać, aby się nie zdradzić przed nim ze swoją chorobą. Pani Anna siedziała nieruchomo, myśląc, czemu właściwie mieszka na wsi i jest zdana na łaskę każdego pociągu, który ją może połączyć ze światem, ale i może nieodwołalnie rozerwać. Listen zagwizdał z cicha i umilkł. Na piaszczystej ulicy ukazali się major i Marian, idący w kierunku stacji. O kilka kroków za nimi szedł sekretarz profesora z teczką. Marian przechodząc koło domu pani Onasowej, zamachał kapeluszem i zakrzyczał jakieś teatralne pożegnanie, ale nikt mu nie odpowiedział.

Dzień był ciepły i pszczoły brzęczały głośno wśród bzów. Listen usiadł na stopniach i przymknął oczy, grzejąc się na słońcu. Anna wstała ociężale i poszła do Jasi. Ale nie umiała jeszcze jej powiedzieć, że pan Marian odjechał.

Już po południu policja otoczyła Murowaniec i rozpoczęła szczegółową rewizję. Zleciała się cała okolica. Gromadki ludzi stały w piachu na ulicy, czekając, co się jeszcze stanie. Niektórzy wdrapywali się na płot, zganiając z niego niecierpliwie przez policjantów. Ale nie stało się już nic więcej. Kulwiecia nie znaleziono, ani zdefraudowanych pieniędzy. Kasjer znikł tajemniczo w nocy. Nie zostawił listu. A raczej zostawił – małą kartkę do syna, którą Krzyś schował głęboko w książkach szkolnych i nie pokazał nikomu. Na kartce były tylko te słowa: „Masz na książeczce w PKO 3000 złotych. Niech ci się zdaje, że umarłem. Musiałbyś wtedy dać sobie jakoś radę, dasz ją sobie i teraz. Strzeż się kobiet”. Krzyś nie pokazał nikomu tego listu, bo to, co się stało, tak go ogłuszyło, że nie widział przed sobą żadnego rozsądnego sposobu postępowania, i dlatego jeszcze, że list ojca uważał za osobisty i nieprzeznaczony dla obcych oczu.

Ranek zaczął się jak zwykle. Krzyś wstał o siódmej, gimnastykował się, robił, ćwiczenia oddechowe i polewał się zimną wodą. Potem rozwiązał zadanie matematyczne, aby poczęła funkcjonować normalnie niemrawa jeszcze po śnie głowa. Potem ubrał się i zszedł do jadalni. Matka krzątała się przy stole i miała wypieki, ale nie było w tym nic dziwnego, skoro ojciec miał za chwilę zejść na śniadanie. Rodzice nie mówili do siebie od wielu już lat, ale obecność męża zawsze naznaczała twarz Kulwieciowej podwójnym stemplem wzruszenia.

Krzyś, nie czekając na ojca, rzucił się z siedemnastoletnim apetytem na chleb i na kawę, nie zwracając uwagi na niezwykłą żywość ruchów matki ani na pytające spojrzenia, jakie rzucała ku drzwiom. Ojciec spóźnił się na śniadanie. Niepokój matki stawał się coraz jawniejszy. Biła już ósma, zegar wybił wpół do dziewiątej. Kulwieciowa odstawiła kubek z niedopitą kawą. Mąż spóźnił się już godzinę do zajęcia. Miała żal do syna, że się tym nie interesuje i że sam nie wszczyna rozmowy o tej sprawie. Wiedział przecie, że ona nie ma zwyczaju mówić z nim o ojcu. Ale to spóźnienie było czymś niezwykłym. Kulwieciowa powiedziała wreszcie z trudem:

– Może byś zajrzał na górę...

Krzyś wstał, ociągając się. Miał zawsze półświadomy sprzeciw przeciwko każdemu rozkazowi. Przy tym nigdy nie chodził na górę do ojca i unikał zawsze z nim rozmów. Odsunięty wcześniej przez zawsze ponurego i obojętnego w domu Kulwiecia, wcześniej też zatracił do niego przywiązanie i przestał się nim interesować. W domu kasjera mówiło się w ogóle mało, tak mało, że właściwie każde słowo stawało się zbyt cenne. Czy ojciec był, czy go nie było, przy stole nie rozmawiano się nigdy. Matka podawała potrawy, a w przerwach siadała i uważnie jadła, ojciec czytał gazetę, a Krzyś nie przerywał sobie toku myśli, z jakim zasiadł do jedzenia. Czasem tylko Kulwieć zadawał synowi jakieś pytanie, na które ten odpowiadał byle co. Krzyś nie lubił ojca, ale go niewyraźnie szanował za niedostępność, za pewną tajemniczość, za to, że matka tak się przejmowała każdym jego przyjazdem. Był o nim w głębi duszy dobrego zdania, stawiał go wyżej niż matkę, choć miał żal, że się ojciec jakoś w życiu nie wybił i nie zajął stanowiska, które i synowi otworzyłyby inne możliwości.

Było naprawdę dziwne, że ojciec, zazwyczaj bardzo systematyczny, nie schodził na śniadanie i spóźniał się do pracy. Krzyś niechętnie poszedł na górę po niewykończonych schodach i zastukał do drzwi jego pokoju. Nikt nie odpowiedział. Zastukał mocniej. Milczenie. Krzyś wszedł do pokoju, pokój był pusty. Szuflady biurka wysunięte, w nich spienione papiery. Nietknięte łóżko po nocy, a na poduszce przypięta szpilką kartka papieru z kilkoma linijkami pisma. Krzyś przeczytał list, który teraz leżał schowany w podręczniku geometrii. Nie bardzo zrozumiał na razie, o co chodzi. Jasne było, że ojciec wyjechał i że nie ma zamiaru wrócić. Ale co znaczyło to zdanie: „Strzeż się kobiet”? Krzyś usiadł na krześle. Więc ojciec porzucał matkę? Od razu cała sprawa przedstawiła mu się pod kątem widzenia pieniężnym. Z czego będą żyli? Dopiero teraz Krzyś uświadomił sobie, że mógł z ojcem nie rozmawiać, mógł o nim nie myśleć, a jednak żył z zarobionych przez niego pieniędzy. Teraz ojciec nie wróci. No, cóż! Trudno! Niby to Krzysia mało obchodziło, ale było mu przykro. Czuł też trochę dumy: taką sytuację uważają ludzie za nieszczęście. Więc i na niego przyszło nieszczęście i miał okazję teraz do okazania hartu woli. Trzeba się otrząsnąć z przykrego wrażenia, okazać się na wysokości. Z czego będą teraz żyli z matką to najważniejsze. Że też ojciec mógł zrobić coś podobnego! Ale nie trzeba go potępiać, może miał jakieś powody. Jak teraz urządzić życie? Myśli zakotłowały się w głowie i znikły. Krzyś poczuł pustkę i spokój. Błysnęła дума, że się tak po męsku zachowuje.

Weszła matka. Od pierwszej chwili, zdawało się, od sekundy, kiedy wetchnęła powietrze pokoju, zrozumiała, co się stało. Zachwiała się dziwnie i śmiesznie, z tyłu naprzód, z pięt ku palcom. Potem pośpiesznym nierównym krokiem podbiegła do Krzysia i wyrwała mu z rąk kartkę. I znów, zdawało się, za ledwie ją wzięła do ręki, już wiedziała, co w niej

było napisane. Usiadła na łóżku, sztywno jak zwykle, ale zapomniała obciągnąć sukni. Twarz jej jakby się rozpadła, usta obwisły. Siedzieli chwilę w milczeniu.

– No, trudno – powiedział wreszcie Krzyś i zdziwił się, usłyszawszy dźwięk swego głosu. – Jakoś damy sobie radę. Dobrze, że są te trzy tysiące.

Matka najwidoczniej nie rozumiała, co on mówi, patrzyła na niego z wysiłkiem. Twarz jej skupiała się powoli. Nagły skurcz sprowadził wszystkie rysy na właściwe miejsce. Przypomniała sobie, że syn na nią patrzy. Przed każdym obcym może nie umiała by zapanować nad sobą, ale przed synem przyzwyczaiła się od tak dawna ukrywać całe swoje życie, udawać zawsze mocną i spokojną, że teraz nie potrafiłaby nawet okazać przed nim swojej słabości. „Później” – pomyślała sobie, odkładając cierpienie i zamęt myśli do chwili, kiedy będzie sama. Poczula ulgę, że Krzyś jest taki spokojny.

– Jakie trzy tysiące? – zapytała równym jak zwykle, niewyrazistym głosem.

– No te, co są w PKO.

– Nic nie mamy w PKO... – powiedziała Kulwieciowa i jeszcze raz spokojnie, uważnie przeczytała kartkę. Czytała ją bardzo długo, ale kiedy podniosła wzrok, w oczach jej było takie przerażenie, że Krzyś zmartwiał. Zaczynał rozumieć... Nie, w to było trudno uwierzyć! Krzyś poczuł, jak cały jego spokój w jednej chwili stopniał. To jednak było co innego:

– Nie mieliście oszczędności w PKO?!

– Żadnych. Nic. Mieliliśmy tylko długi.

I po chwili dodała bezsilnie:

– Zresztą nie wiem.

Obojgu chodziło przede wszystkim o to, aby nie okazać sobie nawzajem słabości. Oboje czepiali się myśli, że może Kulwieć miał jakieś pieniądze, z którymi nie zdradzał się przed nikim, które odkładał dla syna. Oboje czuli, że może jest coś, czego nie rozumieją, a co się wyjaśni. Oboje nie chcieli sobie wyznaczyć myśli, która ich przerażała nade wszystkim...

Krzyś poczuł po raz pierwszy w życiu, dotkliwie, boleśnie, że kiedy przychodzi ważna chwila, nie wiadomo co z sobą robić, jak się zachować. Nie w sensie jakichś postanowień, na to jest czas. Ale co mówić, jak siedzieć, jak się ruszać? Nie można być przecie takim jak zwykle. Co zrobić ze swoim ciałem, któremu nagle nie może wystarczyć automatyzm codziennych ruchów? Czy zostać w pokoju, czy wyjść? Co robić z rękami? Czy trzeba płakać, czy nie trzeba? A jeżeli rozpaczać, to jak? Trzeba by coś powiedzieć matce, ale co? Tak siedzieć nie ma sensu. A może lepiej matce nie przeszkadzać, nie widzieć jej zmienionej twarzy? Czy możliwe, że ojciec... ukradł pieniądze?

Krzyś zerwał się z krzesła. Zrobił to, bo go smagnęła myśl o ojcu, ale kiedy dostrzegł niespokojne spojrzenie matki, wydało mu się, że wstał po to, aby do niej podejść. Przysiadł więc koło niej na łóżku i objął ją za ramio-

na. Matka zatrzęsła się od razu i załamała w tej niespodzianej pieśczoście oschłego zawsze syna, z oczu jej pociekły łzy nie kroplami, ale równymi strumyczkami. I Krzys nagle przestał myśleć o ojcu, o możliwości hańby i strasznego upokorzenia wobec ludzi, uwaga jego skupiła się na matce, którą pierwszy raz widział płaczącą. Jej łzy wydały mu się dziwniejsze, bardziej niepokojące niż całe to zdarzenie. Nie wypuszczając jej z objęcia, wstał i sprowadził ją w dół po schodach. Usiedli razem na pluszowej otomanie, w jadalni. Matka płakała cichutko, wycierając nos łataną chusteczką. Czas płynął. Krzys poczuł pierwszy raz na swym ramieniu i na całym swym życiu brzemień kobiety. Czuł swoją za nią odpowiedzialność, czuł też, że od tej chwili musi całkowicie odpowiadać za siebie. Uczucie to było trochę straszne, ale i pociągające. Więcej niż po jakimś przelotnym przeżyciu erotycznym poczuł, że jest mężczyzną. Czuł w sobie siłę do udźwignięcia własnego życia i życia matki. Nie przerażały go trudności ani nieunikniona bieda. Ale możliwość tamta... możliwość... kradzieży ojca. Krzys odważnie powiedział sobie to słowo. Od tej myśli pot wystąpił mu nad górną wargą.

Siedzieli długo, ale wreszcie matka wstała i poczęła sprzątać pokój. Mówili ze sobą półgłosem, inaczej niż dawniej, co teraz trzeba będzie zrobić, Murowaniec odnajdąć, przenieść się do Warszawy, zamieszkać u ciotki, Krzys będzie musiał szukać kondycji na lato...

Ale za wszystkim tała się myśl, jak sprawdzić, skąd Kulwiec wzięł te tysiące i czy nie zrobił czegoś... takiego...

Wątpliwości te rozwiąły się rychło. Zaraz po południu przyszła policja i okazało się, że Kulwiec zdefraudował z kasy kolejowej kilkadziesiąt tysięcy złotych i znikł, przypuszczalnie wyjechał poprzedniego dnia wieczorem, pociągiem o jedenastej czterdzieści.

Tak, to trzeba było znieść. Najgorsze ze wszystkich uczuć – upokorzenie. Od pierwszego zdania policjanta, które smagnęło jak batem przez twarz, wszystko już działo się jak w ciężkim śnie. Przetrząsnęto całe mieszkanie. Zadawano przykre, raniące pytania. Matka Krzysia paliła się jak na stosie męczeńskim. Ona, która nie mówiła nigdy z nikim o swoim stosunku do męża, która kryła się najstaranniej nawet przed synem, musiała odpowiadać na brutalne pytania obcym ludziom. Krzysowi też nic nie pomogły poskromicielskie, twarde spojrzenia. Cała systematycznie hodowana ambicja, cała pycha, cała nadzieja na swoją władzę nad ludźmi zawiodły i Krzys poczuł się znowu bezsilnym dzieckiem. Wspominał zawsze dzieciństwo jako nieustające upokorzenie, podleganie nieustannym rozkazom i poczucie własnej niemocy. Tak i teraz. Miał uczucie, że coś zawinił – i nie wymknie się od kary. To było tylko dziwne, że dawniej była kara od ojca, teraz za ojca.

Jednocześnie z tym nawrotem do uczuć dzieciennych wróciła silna, ostra miłość do matki i poczucie nierozzerwalnego z nią związku. Jedyne,

co się ostało w tej ruinie dotychczasowego życia, to była ona. W chwili kiedy świat się zachwiał, kiedy się okazało, że jego własny ojciec zdolny jest do kradzieży, że wobec pierwszego lepszego policjanta jego własna duma, ambicja, niewzruszoność są dziecinna zabawką, jedna mu została pewność – że matka jest niezmienna, że zawsze pozostanie sobą, nie większa niż zwykle, ale i nie mniejsza. Od niej nie mogła go spotkać żadna niespodzianka i po raz pierwszy w życiu Krzysowi wydało się to cenne.

Kradzież. Wszystko można było ojcu przebaczyć, porzucenie matki, wepchnięcie go w tak młodym wieku w obręb czynnego życia, groźbę, jaka zawisła nad przyszłością – wszystko, tylko nie kradzież, nie hańbę. Krzys wiedział, że matka czuje tak samo. Jakżeż będzie teraz wzrokiem poskramiał ludzi, kiedy nie odważy się nikomu spojrzeć prosto w twarz? Jedyne matki mógł się nie wstydzić. Jedyne ona pomoże mu dźwigać to upokorzenie. Czuł, że w tej chwili on i ona to jedno. Był z niej dumny, że jest taka opanowana wobec obcych ludzi, że z godnością odpowiada policjantom. Widział zresztą, że ona, która nie okazywała nigdy żadnych uczuć, teraz jest szara, złamana, niepodobna do siebie samej. Starali się nie patrzeć na siebie, choć obserwowali się bacznie, każde z nich niespokojne, jak drugie znieśie to wszystko. Jeżeli zamieniali jakie słowo, to tylko niezbędne, ze spuszczonej oczyma, ale czuli, że są razem.

Zaraz po rewizji Kulwieciowa zamknęła się w swoim pokoju, Krzys położył się na kanapie w jadalni. Po tym najściu obcych ludzi na mieszkanie nie mogli rozmawiać, nie chcieli zostać ze sobą, choć nie byli już tak obcy sobie jak dawniej. Gdyby ojciec był umarł, na pewno siedzieliby razem i nie myśleli o niczym innym jak o nim, ale tak, jak było, woleli się jeszcze na razie unikać, nic nie zmieniać w swym życiu i wykreślić nie z pamięci, to było niemożliwe, ale spomiedzy siebie całe to straszliwe zdarzenie. Po kilku godzinach każde wzięło się do swojej roboty i tak im było najłatwiej przezwyciężyć ciężar sytuacji. Oboje zresztą nie umieli mówić i oboje uważali, że słowa są niepotrzebne. Obmyślenie zaś dokładne tego, co należało teraz przedsięwziąć, odkładali do jutra, do chwili kiedy znów dokładnie wejdą w automatyzm codziennego życia.

Gdy zmrok począł zapadać, Krzys wyszedł przejść się po ogrodzie. Chodził tam i z powrotem między zagonami warzyw, aż zaszedł w kąt sadu, gdzie była mała, piaszczysta górka, a na niej na pół rozwalona altanka. Niewysoki parkan dzielił go od posiadłości Broniszewskich. Przysiadłszy na stopniu altanki, Krzys dojrzał z drugiej strony płotu Adama, który przechadzał się po alejce biegnącej wzdłuż obu posiadłości, i najwidoczniej czatował tu na niego. Zobaczywszy Krzysia, spojrzał na niego spodobał wstydlawie i przyjaźnie. Krzys zachnął się i chciał udać, że go nie widzi.

– Cały dzień prawie tu siedzę – powiedział Adam.

– I po co? – zapytał ostro Krzys.

Adam wykonał jakiś niejasny ruch ręką i powiedział:

- Chciałem się z tobą zobaczyć.
- Nie wstydzisz się ze mną rozmawiać? – zapytał jeszcze ostrzej Krzys.
- Adam spojrzał bezradnie.
- Czy ty przejdiesz do mnie, czy ja mam przejść do ciebie? – zapytał.

Krzys zawahał się. Nie miał ochoty rozmawiać z nikim. Nie chciał współczucia, nie chciał słyszeć potępienia ojca. Wystarczyło, że on sam go potępiał. Adama uważał za dziecko, nie miał zamiaru nic mu objaśniać ani się z niczego tłumaczyć. Ale Adam nie pytał wiele i przelazł przez płot. Krzys czuł, że chłopak jest pełen przyjaźni, i nie umiał jej odtrącić. Poczł nagle, że może nie tylko matka jest z nim na świecie. Zdziwił się, patrząc na Adama, że jednak kogoś lubi.

Adam przelazł przez płot i usiadł koło Krzysia. Widocznie przygotował sobie, co ma powiedzieć, bo mówił płynnie i monotonna i dopiero po kilku zdaniach rozgrzał się i wybuchnął gorącym przekonaniem:

– Słuchaj, tyś się nie powinien przejmować, nic takiego się nie stało. Wszyscy rodzice są obojętni, egoiści, głupi albo źli. Nie myśl, że ja więcej szanuję swego ojca niż ty twojego. (Tu głos mu się trochę załamał. Odetchnął głęboko). Twój może to zrobił z konieczności, z biedy, miał jakieś powody. Mój co prawda nie kr... takich rzeczy nie robił... ale bo ma pieniądze, bo jest za bardzo rad z siebie, bo nic nie chce ryzykować... I woli potępiać innych, niż żeby jego potępiano.

Krzys spojrzał ze zdumieniem. Takich słów się nic spodziewał! Co ten Adam mówi? Był ogłuszony, nie bardzo rozumiał. Porównywał swego ojca, złodzieja, z profesorem Broniszewskim? Krzys nie zgadzał się z Adamem, słowa chłopca raziły jego niewzruszone, purytańskie pojęcie o świecie, ale zachłysł się ich odwagą, ich nieoczekiwanym sensem i miło mu było w głębi duszy, że można spojrzeć inaczej na postępek ojca, że może było jakieś usprawiedliwienie, że hańba nie jest może tak absolutna. Ucieszyło go, że nie tylko on musi źle myśleć o swoim ojcu. Ale w imię sprawiedliwości zaprotestował.

- Głupi jesteś – powiedział – mój ojciec jest złodziejem.
- Złodziejem, złodziejem! – zakrzyczał Adam, upojony własnymi słowami, uniesiony obrazoburczym zapałem i koniecznością zupełnej (nie-szczerej) szczerości. – Ja też jestem złodziejem. Wykradałem ojcu pieniądze z portmonetki. Tak, kradłem i nie raz, stale kradłem...

– Ee... – zdziwił się Krzys.

Adam uniesiony własnymi słowami galopował dalej:

- Tak, tak! I powiem ci wprost: bardzo możliwe, że i ja będę złodziejem... jeszcze większym, niż jestem (dodał trochę zawstydzony, bo tym „będę” niweczył niejako ważność poprzedniego wyznania). Jeżeli nie będę miał pieniędzy, aby zrobić jakąś wielką podróż, aby móc czegoś dokonać albo bardzo szeroko żyć, uszczęśliwiając ludzi, których spotkam –

okradnę kasę w jakim banku! Pojedynczego człowieka może nie powinno się ograbiać (choć... bardzo bogatego?...), ale instytucję można. Nikogo się wtedy nie krzywdzi, a ktoś na tym zyskuje! Twój ojciec miał rację, że tak zrobił.

„To jakoś niezupełnie tak” – myślał Krzys, po raz pierwszy w życiu oszołomiony i zgubiony w zamęcie sprzecznych myśli. Ale czemu słowa Adama miały dla niego taki urok, czemu słuchał ich tak chciwie? Czy dlatego, że w tak zawrotny sposób komplikowały prostą nieco rzeczywistość, czy że otwierały nowe możliwości, czy że prostolinijnej, skrupulatnej naturze Krzysia dawały zaznać przerażającej i zawrotnej rozkoszy bluźnierstwa? Krzys nie opierał się dłużej, popłynął wraz z przyjacielem przeciwko prądowi rozsądku i dotychczasowych swoich przekonań. Zawołał z kolei:

– Masz rację! Jeżeli kradzież służy do wyższych celów, to i ja nie widzę w niej nic złego! Ani w morderstwie! Są pewne morderstwa, które wolno popełniać! W obronie własnej! Nikczemnego człowieka też wolno zabić. I nawet... jeżeli człowiek jakiś jest niezwykle i dąży gdzieś... a ktoś mu stoi na drodze... to też ma prawo go zabić...

Tu już Adamowi trochę dech zaparło. Ale teraz nie można już było się cofać, zaszli za daleko. Żaden z nich nie byłby się zdradził z tchórzostwem wobec tych myśli, które sami z głębi duszy uważali za potworne. Tu już chodziło o ambicję, o rekord, o to, kto dalej zabierze.

– Prawda! – zawołał Adam. – Przecież bardzo często się zdarza, że choć nie zabijamy kogoś, to życzymy mu śmierci. Czy to nie na jedno wychodzi? Alboż to mało razy życzy się śmierci własnym rodzicom... Nie znasz tego uczucia? Tylko nikt się do tego nie przyznaje! Więc właściwie każdy z nas jest zbrodniarzem.

– I to jest dobrze! – zawołał Krzys. – Wszyscy ludzie, którzy dokonali czegoś wielkiego, wodzowie, władcy, przywódcy, nie mieli śmiesznych skrupułów. Prowadzili tysiące ludzi na zagładę i usuwali sobie z drogi tych, co im zawadzali...

– Tak, ale widzisz, tu jest jedna rzecz – powiedział Adam z wahaniem – jeżeli się jest pewnym swojej słuszności, to może można tak robić, ale jak być jej pewnym? A może ten, którego ja usunę, miał rację, a nie ja, co wtedy?

– Każdy ma swoją rację i to jest ważne – powiedział Krzys ponuro. – Sam powiedziałeś, że może mój ojciec miał też jakąś rację. Czyja racja zwycięża, ta widocznie była słuszna. Ojciec teraz gwizdże na to, co będzie robić matka i ja, ale pewno mu jest dobrze i może on ma właśnie rację. A ja będę miał rację, jak się będę bronił wszystkimi sposobami przeciwko biedzie, choćbym nawet kradł i rozbijał...

Teoretycznym rozważaniom Adama daleko było do ponurej determinacji, która brzmiała w głosie Krzysia. Krzys dostrzegł z lekką wzdargą spłoszone spojrzenie przyjaciela i pospieszył uspokoić go niedbale:

- Chciałem się z tobą zobaczyć.
- Nie wstydzisz się ze mną rozmawiać? – zapytał jeszcze ostrzej Krzys.
- Adam spojrzał bezradnie.
- Czy ty przejdiesz do mnie, czy ja mam przejść do ciebie? – zapytał.

Krzys zawahał się. Nie miał ochoty rozmawiać z nikim. Nie chciał współczucia, nie chciał słyszeć potępienia ojca. Wystarczyło, że on sam go potępiał. Adama uważał za dziecko, nie miał zamiaru nic mu objaśniać ani się z niczego tłumaczyć. Ale Adam nie pytał wiele i przelazł przez płot. Krzys czuł, że chłopak jest pełen przyjaźni, i nie umiał jej odtrącić. Poczł nagle, że może nie tylko matka jest z nim na świecie. Zdziwił się, patrząc na Adama, że jednak kogoś lubi.

Adam przelazł przez płot i usiadł koło Krzysia. Widocznie przygotował sobie, co ma powiedzieć, bo mówił płynnie i monotonicznie i dopiero po kilku zdaniach rozgrzał się i wybuchnął gorącym przekonaniem:

– Słuchaj, tyś się nie powinien przejmować, nic takiego się nie stało. Wszyscy rodzice są obojętni, egoiści, głupi albo źli. Nie myśl, że ja więcej szanuję swego ojca niż ty twojego. (Tu głos mu się trochę załamał. Odetchnął głęboko). Twój może to zrobił z konieczności, z biedy, miał jakieś powody. Mój co prawda nie kr... takich rzeczy nie robił... ale bo ma pieniądze, bo jest za bardzo rad z siebie, bo nic nie chce ryzykować... I woli potępiać innych, niż żeby jego potępiano.

Krzys spojrzał ze zdumieniem. Takich słów się nic spodziewał! Co ten Adam mówi? Był ogłuszony, nie bardzo rozumiał. Porównywał swego ojca, złodzieja, z profesorem Broniszewskim? Krzys nie zgadzał się z Adamem, słowa chłopca raziły jego niewzruszone, purytańskie pojęcie o świecie, ale zachłysł się ich odwagą, ich nieoczekiwanym sensem i miło mu było w głębi duszy, że można spojrzeć inaczej na postępek ojca, że może było jakieś usprawiedliwienie, że hańba nie jest może tak absolutna. Ucieszyło go, że nie tylko on musi źle myśleć o swoim ojcu. Ale w imię sprawiedliwości zaprotestował.

- Głupi jesteś – powiedział – mój ojciec jest złodziejem.
- Złodziejem, złodziejem! – zakrzyczał Adam, upojony własnymi słowami, uniesiony obrazoburczym zapałem i koniecznością zupełnej (nie-szczerej) szczerości. – Ja też jestem złodziejem. Wykradałem ojcu pieniądze z portmonetki. Tak, kradłem i nie raz, stale kradłem...

– Ee... – zdziwił się Krzys.

Adam uniesiony własnymi słowami galopował dalej:

- Tak, tak! I powiem ci wprost: bardzo możliwe, że i ja będę złodziejem... jeszcze większym, niż jestem (dodał trochę zawstydzony, bo tym „będę” niweczył niejako ważność poprzedniego wyznania). Jeżeli nie będę miał pieniędzy, aby zrobić jakąś wielką podróż, aby móc czegoś dokonać albo bardzo szeroko żyć, uszczęśliwiając ludzi, których spotkam –

okradnę kasę w jakim banku! Pojedynczego człowieka może nie powinno się ograbiać (choć... bardzo bogatego?...), ale instytucję można. Nikogo się wtedy nie krzywdzi, a ktoś na tym zyskuje! Twój ojciec miał rację, że tak zrobił.

„To jakoś niezupełnie tak” – myślał Krzys, po raz pierwszy w życiu oszołomiony i zgubiony w zamęcie sprzecznych myśli. Ale czemu słowa Adama miały dla niego taki urok, czemu słuchał ich tak chciwie? Czy dlatego, że w tak zawrotny sposób komplikowały prostą nieco rzeczywistość, czy że otwierały nowe możliwości, czy że prostolinijnej, skrupulatnej naturze Krzysia dawały zaznać przerażającej i zawrotnej rozkoszy bluźnierstwa? Krzys nie opierał się dłużej, popłynął wraz z przyjacielem przeciwko prądowi rozsądku i dotychczasowych swoich przekonań. Zawołał z kolei:

– Masz rację! Jeżeli kradzież służy do wyższych celów, to i ja nie widzę w niej nic złego! Ani w morderstwie! Są pewne morderstwa, które wolno popełniać! W obronie własnej! Nikczemnego człowieka też wolno zabić. I nawet... jeżeli człowiek jakiś jest niezwykle i dąży gdzieś... a ktoś mu stoi na drodze... to też ma prawo go zabić...

Tu już Adamowi trochę dech zaparło. Ale teraz nie można już było się cofać, zaszli za daleko. Żaden z nich nie byłby się zdradził z tchórzostwem wobec tych myśli, które sami z głębi duszy uważali za potworne. Tu już chodziło o ambicję, o rekord, o to, kto dalej zabierze.

– Prawda! – zawołał Adam. – Przecież bardzo często się zdarza, że choć nie zabijamy kogoś, to życzymy mu śmierci. Czy to nie na jedno wychodzi? Alboż to mało razy życzy się śmierci własnym rodzicom... Nie znasz tego uczucia? Tylko nikt się do tego nie przyznaje! Więc właściwie każdy z nas jest zbrodniarzem.

– I to jest dobrze! – zawołał Krzys. – Wszyscy ludzie, którzy dokonali czegoś wielkiego, wodzowie, władcy, przywódcy, nie mieli śmiesznych skrupułów. Prowadzili tysiące ludzi na zagładę i usuwali sobie z drogi tych, co im zawadzali...

– Tak, ale widzisz, tu jest jedna rzecz – powiedział Adam z wahaniem – jeżeli się jest pewnym swojej słuszności, to może można tak robić, ale jak być jej pewnym? A może ten, którego ja usunę, miał rację, a nie ja, co wtedy?

– Każdy ma swoją rację i to jest ważne – powiedział Krzys ponuro. – Sam powiedziałeś, że może mój ojciec miał też jakąś rację. Czyja racja zwycięża, ta widocznie była słuszna. Ojciec teraz gwizdże na to, co będzie robić matka i ja, ale pewno mu jest dobrze i może on ma właśnie rację. A ja będę miał rację, jak się będę bronił wszystkimi sposobami przeciwko biedzie, choćbym nawet kradł i rozbijał...

Teoretycznym rozważaniom Adama daleko było do ponurej determinacji, która brzmiała w głosie Krzysia. Krzys dostrzegł z lekką wzdrgą spłoszone spojrzenie przyjaciela i pospieszył uspokoić go niedbale:

znowu chaosem. Potężna siła rozwalila na szczątki zdarzenia i ludzi, przewróciła wszystkie pojęcia, zawiesila ich samych w zawrotnie wirującej mgławicy, w której nic już nie było całością i harmonią, tylko ułamkiem i zamętem. Wszystkim trojgu kręciło się w głowie. Każdą rzecz można było pomyśleć i każdą powiedzieć. Mgławica, która ich porwała, była jeszcze w stanie wrzenia, topniały z sykiem wszystkie zasady, w jakich ich wychowano, płynęły płonącą strugą najtrwalsze, najstalsze pojęcia. Raz po raz słyszeli huk jakiejś eksplozji i rumor, z jakim walił się wszechświat. Ale nie czuli lęku. To runął ich dziecinny świat, w którym już im było ciasno. Z mgławicy, która porwała ich w zawrotny ruch wirowy, miał się wyłonić świat inny, świat ludzi dorosłych. Ale na razie były tylko rumowiska, płomienie i pęd zawrotny.

Kręś rozejrzał się niespokojnie, jakby czując obecność niewidocznej Jasi. Powiedział do Adama:

– Chodź, przejdziemy się trochę. Pomówimy.

Poszli do lasu.

Widział ich z daleka stary pan Hieronim, który wyszedł do ogrodu, szukając Adama. Popatrzał za nimi i poczuł, że nie jest im potrzebny. Snuł się łagodnie po sadzie jak szarawy, niewyraźny duch i uśmiechał się do siebie mgliście, słuchając niejasnego ćwierkania i zduszonego pisku zasypiających ptaków. Oddychał głęboko twardym, łamliwym powietrzem chłodnego wieczoru i starał się pochwycić zapach przekwitających bzów. Przemykał się między drzewami, zapadając się czasem łagodnie w kretowiska jak w pułapki ciągnące do dusznego, tajemniczego, podziemnego świata. Czasem uderzała go po twarzy gałązka oblepiona gęsto białym kwiatem albo chwytła za ubranie czepna witka maliny.

„Bałem się niegdyś starości – myślał pan Hieronim. – Czy mniej jestem szczęśliwy niż dawniej? Czy bardziej nieszczęśliwy? Nie. Uspokoiłem się, zobojętniałem, nie potrafię już tak cierpieć. Więcej może potrafię się cieszyć – niczym – wszystkim, co mnie otacza. Książką, powietrzem, młodym przyjacielem. Życie mnie tak mało obchodzi i to, co mnie czeka. Widzę, słyszę, oddycham i przeczuwam jakiś sens wszystkiego, co widzę, co słyszę, czym oddycham...”

Pan Hieronim zaczął myśleć rytmicznie i dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że to zbliżający się szum pociągu tak go ukołysał.

Przysiadł na darniowej ławeczce w kącie ogrodu. Przyglądał się stąd zeszłego roku gromadce młodych wróbli, które matka mozołnie uczyła fruwać. Ustawiła je rzędem na gałązce, ale zanim dała znak do lotu, jeden mały wróbelek poderwał się niezdarnie, zatrzepotał bezradnie w powietrzu jak tonący w wodzie, fiknął koziołka i jak puszysta kulka spadł pod same nogi pana Hieronima. Stary nauczyciel zabrał do domu skrwawionego ptaszka. Wróbel leżał na jego dłoni i patrzył jednym okrągłym, przerażonym okiem. Po tygodniu wyzdrowiał i pofrunął już sprawnie. Pan Hie-

ronim wspominał go często. Wspominał, jak mu krew leciała z dzióbka, jak nie miał nadziei utrzymania go przy życiu i jak po tygodniu ptaszek, dziarski i zdrowy, furknął w otwarte okno – niby ci wszyscy chłopcy, którym już nie był potrzebny.

Niespodziewanym rzutem myśli pan Hieronim przeniósł się w czasy swojej wczesnej młodości i przypomniał sobie rozmowę, jaką miał z pewnym swoim przyjacielem, obecnie piastującym wysokie bardzo stanowisko, zasiadającym w senacie obok Ignacego Broniszewskiego, z przyjacielem, z którym obecnie nie łączyła go ani jedna niteczka. Chodzili wtedy razem po Alejach cały wieczór i niemal pół nocy. Nie pamiętał już dokładnie, o czym mówili, ale Hieronimowi się zdawało, że wysadzają z posad świat. Obalali kolejno wszystko: przyszłość ludzkości, ideę państwa, instytucję rodziny, miłość, moralność. Najbardziej wątpili o człowieku i o samych sobie. Nigdy potem nie poczuł pan Hieronim tak jasno irracjonalności, absurdalności życia. Mówili, mówili niepowstrzymanym pędem pół nocy, a rozstali się milczący i tragiczni. Powiedzieli sobie na pożegnanie, że jedynym aktem odwagi i mocy, jakim człowiek może zwyciężyć los, jest samobójstwo. Powinien dobrowolnie usunąć się z nierównej walki.

Hieronim wrócił wówczas ukradkiem przez kuchnię do domu, ale nim doszedł do drzwi swojego pokoju, poczuł nagle i stanowczo, że dziś właśnie trzeba z tym wszystkim skończyć. Trucizny nie miał, a tym bardziej rewolweru, do jutra czekać nie mógł, czuł, że oto chwila nadeszła, czuł przeraźliwie całą nicość życia. Wrócił na palcach do kuchni, wyjął z szuflady długi nóż do krajania mięsa i spieszenie powrócił do siebie. Rozpiął koszulę na piersiach i zakłuł się dość głęboko. Otrzeźwił go nie tyle ból, ile widok krwi, która drobnymi kropelkami wystąpiła koło ostrza. Hieronim wypuścił nóż z ręki i wówczas krew popłynęła pospiesznie wąskim strumyczkiem. I nagle – stary nauczyciel przypominał sobie to z uśmiechem – wszystko stało się nieważne: przyszłość ludzkości i kwestie etyczne, wiara w Boga i w człowieka, wobec tej strużki ciepłej, lepkiej krwi. Pochwycił ręcznik i przycisnął go sobie do rany, położył się na łóżku i starał się nie oddychać, aby zatamować krew. Stchórzył – tak. Zrozumiał, że nigdy niczego do końca nie zrozumie, że gruzy zburzonego świata trzeba odbudować znowu, by móc żyć.

Tak się skończył jego pojedynek z życiem do pierwszej krwi.

Dziś pan Hieronim uśmiechał się na to wspomnienie, uśmiechał się do ptaszka, który furknął w otwarte okno, uśmiechał się do dalekich sylwetek Adama i Krzysia, znikających mu z oczu na zakręcie drogi.

Jedyna rzecz, której się w życiu przez długie lata nauczył, którą uważał za swoją największą zdobycz, to był ów uśmiech...

KONIEC